

## Grateful Dead – American Beauty (1970)



01. *Box Of Rain* (Hunter, Lesh) – 5:16
02. *Friend Of The Devil*" (Garcia, Dawson, Hunter) – 3:20
03. *Sugar Magnolia* (Weir, Hunter) – 3:15
04. *Operator* (Ron McKernan) – 2:22
05. *Candyman* (Garcia, Hunter) – 6:10
06. *Ripple* (Garcia, Hunter) – 4:09
07. *Brokedown Palace* (Garcia, Hunter) – 4:04
08. *Till The Morning Comes* (Garcia, Hunter) – 3:06
09. *Attics Of My Life* (Garcia, Hunter) – 5:09
10. *Truckin'* (Garcia, Lesh, Weir, Hunter) – 5:02

### Personnel:

- Jerry Garcia - guitar, pedal steel, vocals
- Phil Lesh - bass, acoustic guitar, piano, vocals
- Bob Weir - guitar, vocals
- Ron "Pigpen" McKernan - harmonica, vocals
- Mickey Hart - percussion
- Bill Kreutzmann - drums
- Robert Hunter - songwriter
- +
- Dave Torbert - bass on "Box of Rain"
- Dave Nelson - electric guitar on "Box of Rain"
- David Grisman - mandolin on "Friend of the Devil" and "Ripple"
- Howard Wales - organ on "Candyman" and "Truckin'" and piano on "Brokedown Palace"
- Ned Lagin - piano on "Candyman"
- New Riders Of The Purple Sage

With 1970's Workingman's Dead, the Grateful Dead went through an overnight metamorphosis,

turning abruptly from tripped-out free-form rock toward sublime acoustic folk and Americana. Taking notes on vocal harmonies from friends Crosby, Stills, Nash & Young, the Dead used the softer statements of their fourth studio album as a subtle but moving reflection on the turmoil, heaviness, and hope America's youth was facing as the idealistic '60s ended. *American Beauty* was recorded just a few months after its predecessor, both expanding and improving on the bluegrass, folk, and psychedelic country explorations of *Workingman's Dead* with some of the band's most brilliant compositions. The songs here have a noticeably more relaxed and joyous feel. Having dived headfirst into this new sound with the previous album, the bandmembers found the summit of their collaborative powers here, with lyricist Robert Hunter penning some of his most poetic work, Jerry Garcia focusing more on gliding pedal steel than his regular electric lead guitar work, and standout lead vocal performances coming from Bob Weir (on the anthem to hippie love "Sugar Magnolia"), Ron "Pigpen" McKernan (on the husky blues of "Operator"), and Phil Lesh (on the near-perfect opening tune, "Box of Rain"). This album also marked the beginning of what would become a long musical friendship between Garcia and Dave Grisman, whose mandolin playing adds depth and flavor to tracks like the outlaw country-folk of "Friend of the Devil" and the gorgeously devotional "Ripple." *American Beauty* eventually spawned the band's highest charting single -- "Truckin'," the greasy blues-rock tribute to nomadic counterculture -- but it also contained some of their most spiritual and open-hearted sentiments ever, their newfound love of intricate vocal arrangements finding pristine expression on the lamenting "Brokedown Palace" and the heavenly nostalgia and gratitude of "Attics of My Life." While the Dead eventually amassed a following so devoted that following the band from city to city became the center of many people's lives, the majority of the band's magic came in the boundless heights it reached in its live sets but rarely managed to capture in the studio setting. *American Beauty* is a categorical exception to this, offering a look at the Dead transcending even their own exploratory heights and making some of their most powerful music by examining their most gentle and restrained impulses. It's easily the masterwork of their studio output, and a strong contender for the best music the band ever made, even including the countless hours of live shows captured on tape in the decades that followed. ---Fred Thomas, AllMusic Review

Grateful Dead. Niewiele jest zespołów, które otoczone były (lub są) takim kultem, jak ta amerykańska grupa. Jerry Garcia, gitarzysta, frontman i guru był dla fanów swego rodzaju bogiem (tysięczny tłum spija słowa z mych ust, kochają mnie – że posłużę się innym cytatem). Dziś takich zespołów już nie ma, bo nawet aspirujący (może nieświadomie, ale zawsze) do podobnej roli Dave Matthews Band to już jednak inna liga, inna muzyka, a przede wszystkim inny świat. Bo dla Grateful Dead istotne znaczenie miało miejsce i czas, w jakim zespół powstał. Jak zsumujemy sobie San Francisco połowy lat 60-tych, dodamy odrobinę hippisów, Kena Keseya (tego od ... a zresztą, co wam będę tłumaczył oczywiste oczywistości), Woodstock i jeszcze parę innych rzeczy – wyjdzie nam mieszanka, jakiej nie sposób przyrządzić już w żadnym innym czasie i miejscu.

Uwielbienie dla muzyki Grateful Dead sprowadza się – w moim odczuciu – do kilku albumów, które mieszczą się w kategoriach pomiędzy „wstyd nie znać – a – absolutnie wstyd nie mieć”. Jest w tej grupie recenzowane już przeze mnie arcydzieło koncertowe, czyli album Live /Dead, którego recenzję możecie przeczytać w linku. American Beauty, będący przedmiotem tej recenzji również zasługuje na umieszczenie go w przegródce „genialne płyty”. Co niniejszym w naszym serwisie czynię.

Dobrze, to teraz muzyka. Grateful Dead słynęli z koncertów. Słysząc to wyraźnie na wspomnianym Live / Dead, gdzie utwory trwają po kilkanaście minut, a każdy z nich to taki objazd psychodeliczno – bluesowo – rockowy. Owa mieszanka sprawdza się w wersji live, gdzie czasu co niemiara, a reguły rządzące koncertem zdecydowanie bardziej dopuszczają improwizację, zbędne dźwięki czy fałszywe nuty. Jak to się ma do nagrań studyjnych? Gdzie trzeba pilnować tempa, melodii, struktury, porządku i czego tam jeszcze nie zapagniemy. Ano ma się dobrze, pod warunkiem, że za nagrywanie bierze się ktoś taki, jak Jerry Garcia i koledzy.

Każdy utwór z American Beauty to połączenie southern rocka, bluesa, country i folku. Przyprawione psychodelią, a jakże, pewnie, że tak. Muzyka snuje się w sposób absolutnie nieskrępowany, i to za sprawą dość prostych zabiegów. Częste zmiany rytmu (często w ramach jednego utworu), wsparte wielogłosowymi chórkami (tym, co Marek Niedźwiecki w swoich audycjach nazywał „radiem California”), a wszystko to okraszone pozornie prostymi solami gitary lub ... pianina (potraktowanego w sposób iście knajpiany – vide mój ulubiony Brokedawn Palace). Oczywiście nie słuchałoby się tego z taką radością, gdyby nie chwytliwe melodie, z niezłymi tekstami, nawiązującymi do literatury (wspomniany Brokedawn Palace to odniesienia do noweli Johna Steinbecka) czy Biblii (wykorzystane w Ripple). Ta różnorodność stylów powoduje, że nastawiając płytę w gramofonie (albo odtwarzaczu) dociera do nas klasyczny rock (Box Of Rain), country (Ripple), blues (Candyman), southern rock (Sugar Magnolia) czy też folk rock (Friend of the Devil). Wszystko przemieszane i poddane hippiesowskiej ideologii.

I to już cały obraz Grateful Dead sprzed czterdziestu lat. American Beauty sytuuje Grateful Dead między najlepszymi dokonaniem takich zespołów jak The Allman Brothers Band, Jefferson Airplane, i oczywiście Crosby, Stills, Nash & Young. Słowem – klasyka. Wstyd nie mieć. ---Kris, artrock.pl

download (mp3 @320 kbs):

[yandex](#) [mediafire](#) [uloz.to](#) [gett](#)

[back](#)